

„Obieżyświat” (cd.)

Oczekiwanie

Rosyjska rzeczywistość jest romantyczna dla tych, którzy potrafią to docenić, i okrutna dla tych, którzy przywieźli z Europy niewłaściwe przyzwyczajenia, dla niecierpliwych. Każda wyprawa na drugi koniec świata, aby była udana, musi przede wszystkim uszanować obyczaje miejscowej ludności; najtrudniej zrozumieć ich stosunek do czasu. Ktoś, kto nie był w Rosji, nie zrozumie tego...



Główna ulica w Honuu (centrum obszaru administracyjnego wielkości 1/3 Polski)

Honuu – drewniana osada jakucka kilkanaście kilometrów od koła podbiegunowego (nieco ponad dwa tysiące mieszkańców, centrum jednostki administracyjnej wielkości jednej trzeciej Polski), przywitała nas chmurami i mżawką, co wywołało wręcz zdziwienie po ponadtrzydziestostopniowych upałach panujących w Jakucku. „Gdzie my jesteśmy?! Gdzie te góry?!”

Przez chwilę byliśmy nieco skonsternowani, ale też pełni energii do działania. Tylko co robić? Problem rozwiązał się, gdy podszedł do nas jeden z Jakutów obecnych na lotnisku. „Jestem Jakow Siemionowicz, dyrektor Momskiego PN. Za chwilę będzie samochód i pojedziecie ze mną do dyrekcji, a tam porozmawiamy”. Z jednej strony trochę nas to zaskoczyło, ale z drugiej – ucieszyliśmy się, bo dyrektor zrobił sympatyczne wrażenie. Zresztą – tak czy owak, jako człowiek kompetentny może nam pomóc. W drodze do dyrekcji (zabraliśmy się łażikiem) Jakow Siemionowicz objaśniał nam, co gdzie się mieści, gdzie możemy robić zakupy lub jak iść do administracji („Po co nam to wszystko? Przecież idziemy w góry?!”) – cho-



Dwupłatowy An-2 szczęśliwie wylądował w Sasyeze

dziło nam po głowach). Dowiedzieliśmy się też, że w okolicach już od tygodni padają deszcze, co normalnie jest rzadkością o tej porze roku. Rozmowa w dyrekcji była bardzo ciekawa. „Czyli to wy jesteście tą grupą z Polski? No, ładnie...Cieszę się, że wybraliście nasz Park, szkoda tylko, że bez poinformowania nas o tym – przygotowalibyśmy się...”. „Ale nam nic nie trzeba! Mamy mapy, ekwipunek, prowiant, a nawet GPS’a, więc...”. „A co planujecie?”. „No, chcemy dojść do Masywu Buordach przez Sasyr (wioska w samych Górach Czerskiego), może na Pobiedę (najwyższy szczyt, 3147 m), a potem przez góry do wsi Pobieda (ponad dwieście kilometrów), która już jest przy drodze prowadzącej z Ust’-Nery do magadańskiej trasy...” „HA! HA! Dzieci! A co wy wiecie o tajdze i o górach, w które się wybieracie?? Czy wy wiecie, jak tam wygląda?!” „No właśnie nie i dlatego chcemy zobaczyć, a doświadczenie w chodzeniu po górach mamy...” „A pływać umiecie? Bo stąd do Sasyru rozlewa się Moma, teren jest bagienny i NIKT tamtędy nie przejdzie!!! Chyba że zimą, jak wszystko zamrze...” „?!?” „Jedyna możliwość dostania się do Sasyru to samolot, ale ten póki co jest uszkodzony, a w ogóle obsługuje jeszcze Ust’-Nerę i nie wiadomo, kiedy polecą. Pozostaje wam czekać”. Próbowaliśmy jeszcze dyskutować, ale Jakow miał rację – na mapie teren może się wydawać całkiem inny niż jest w rzeczywistości...

Dyrektor Parku odstąpił nam na siedzibę swoją dyrekcję, żebyśmy nie musieli spać w namiocie w deszczu (!) i zaprosił nas na obiad, gdzie pierwszy raz w życiu jedliśmy zupę z łosia. Pycha! Przynajmniej jak już musimy czekać, zaznajomimy się z miejscowymi obyczajami – kuchnia jest, jakby nie było, częścią kultury narodu!

Tak się zaczęło jedenaście dni w Honuu, czas rozczarowania i nadziei, nauki pokory, ale także zawierania przyjaźni i poznawania etnografii Jakutów. Nie był to na pewno czas stracony, choć pobyt w Honuu nie był bynajmniej planowany.

Zaraz pierwszego dnia, po rozmowie, wybraliśmy się w stronę koła polarnego. Okazało się, że wody rzeczywiście nie brakuje... Niewiele byśmy zdziałali, gdyby nie „łazik”, którego kierowca bardzo chętnie nas zabrał, nie mógł tylko zrozumieć, dokąd chcemy jechać. „Poliarnyj krug?!? Ale co tam ma być?”. Pojechaliśmy z nim nad Indygirkę, co po eweńsku oznacza „Psia Rzeka”. Wrażenie zrobił na nas jej silny nurt przy sporej szerokości (szersza niż Wisła). Podobno Indygirka jest niebezpieczna – nic dziwnego... Przez chwilę mogliśmy podziwiać Góry Czerskiego, które zamajaczyły gdzieś nad horyzontem, przebi-



No i stało się – kilkugodzinna akcja wydobywania samochodu

jając się przez gęstą szarą mgłę. Kiedy my tam będziemy?

Sytuacja z transportem w Honuu rzeczywiście nie wyglądała najlepiej. Jedyny miejscowy samolot AN-2 (na dziesięć osób), słynna „Antoszka” (polska produkcja z lat pięćdziesiątych), obsługuje trzy miejscowości oddalone od siebie o kilkadziesiąt kilometrów, lata tylko wtedy, gdy dobre warunki pogodowe są w miejscu startu, lądowania i na trasie, co przy kapryśnej pogodzie górskiej nie jest bynajmniej częste. Poza tym „Antoszka” ma już swoje lata i długi staż pracy, więc często się psuje. Jakby tego było jeszcze mało, okazało się, że z trudem załapiemy się na piąty albo szósty rejs do Sasyr. A pracownicy lotniska, jakby na złość, ciągle informowali – „nieliotnaja pogoda” – nie nie polecą. Czyli nasza przyszłość nie rysowała się w jasnych kolorach, tym bardziej, że cały czas mżyło, zbliżała się fala powodziowa, a do tego przeszedł cyklon. Przynajmniej obejrzelśmy nowe dla nas zjawisko meteorologiczne... Nie marnowaliśmy jednak czasu – poznawaliśmy ludzi, spotykaliśmy się z nimi, byliśmy zapraszani i goszczeni. Zdobyliśmy nowych przyjaciół i to było wspaniałe. Poza tym urządzaliśmy wypadki w najbliższą okolicę (raz było nawet słonecznie i udało się nam wejść na pobliską górkę, skąd rozciągał się piękny widok i rosła chęć wyrwania się „tam”. Po kilku dniach spędzonych w „domku” dyrekcji, zostaliśmy zaproszeni przez rodziny jakuckie i to było wielkie przeżycie i cudowne doświadczenie, mieszkać z nimi i uczestniczyć w ich życiu. Każdy się starał, żeby nam się podobało – byliśmy m.in. zaproszeni na ucztę jakucką do nauczycielki matematyki zajmującej się etnografią. Piliśmy kumys z drewnianych czaronów, jedliśmy „lepioszki” i „warienie”, słuchaliśmy jakuckiej muzyki i oglądaliśmy narodowe stroje... Potem padło pytanie: „A czy karmiliście Ziemię?” „???” (wiedzieliśmy, że Jakuci czczą Naturę – Ogień, Wodę, Ziemię) „Nie.” „No to koniecznie trzeba to nadrobić! To dlatego nasza Ziemia was jeszcze nie chce przyjąć”.

Następnego dnia poszliśmy razem nad Indygirkę. Olga, nasza rówieśniczka i opiekunka zarazem, upiekła placuszki (aładzi), które potem zostały ułożone w okrąg pod najładniejszym modrzewiem w okolicy. Wpatrzeni w rwący nurt Rzeki prosiliśmy Ducha Ziemi, żeby nas przyjął i się nami opiekował...

Góry

Po dwóch dniach siedzieliśmy już w samolocie do Sasyr, a nasza radość i ekstaza dochodziły do zenitu. Udało się! Słońce świeci jak szalone, fala powodziowa opadła, a z Masywu Buordach śmieją się do nas lodowce... Do tego jeszcze lot dwupłatowcem i wspaniałe widoki z kabiny pilotów, którzy nas do siebie zaprosili. AN-2 jest mały i nie leci ani zbyt wysoko (półtora tysiąca metrów nad ziemią), ani za szybko (niecałe dwieście kilometrów na godzinę), więc można było w pełni rozkoszować się krajobrazem pod nami.

Do „naszego szczęścia” przyczynił się ojciec Olgi, szef ułusu (jednostka administracyjna) Momskiego. Wróciwszy z Jakucka przyjął nas serdecznie, długo rozmawiał z nami o planach i naszych marzeniach. Decyzja należała do niego – „Możecie wyruszyć w góry!” – dał nam też namiary na ludzi, którzy mogą nam być pomocni, a byli!

Sasyr jest dużo mniejszy niż Honuu. W wiosce położonej między dwoma wielkimi pasmami górskimi (Momskie i Czerskiego) żyją przede wszystkim rodziny „oleniowodów” – pasterzy reniferów. Około dwunastu tysięcy tamtejszych reniferów podzielonych na dziesięć stad przemierza przez okrągły rok, pod opieką koczowników, rozległe doliny i góry grzbietu Czerskiego. W Sasyrze mieszkają głównie Eweni oraz w mniejszości Jakuci. Odwiedziliśmy muzeum poświęcone ich kultu-



Eweńska jurta w samym środku tajgi

rze i życiu, po czym udaliśmy się na rozmowę z „głową administracji”, żeby dowiedzieć się o możliwościach przetransportowania nas na drugi brzeg Momy, skąd moglibyśmy ruszyć w góry. German Germanowicz przyjął nas bardzo gościnnie, oddał nam nawet swój „zimowy dom” na nocleg i powiedział, że mamy szczęście, bo następnego dnia jadą dwie ciężarówki po zaopatrzenie do Ust’-Nery, czyli w kierunku, w którym się wybieramy, więc możemy się zabrać. Nasza radość była rzeczywiście ogromna! Należy wspomnieć, że transport w miesiącach letnich, kiedy rzeki i bagna nie są zamrożone, nie jest bynajmniej łatwy i wymaga wielkich umiejętności od kierowców. Do tego poziom wody w rzece nie może być zbyt wysoki, bo to właśnie po niej się jedzie (lepiej niż po tajdze czy moczarach). Dlatego taka wyprawa należy do rzadkości. Wieczorem podziwialiśmy zachód słońca nad górami i patrzyliśmy pełni wzniosłych uczuć w stronę „Wrót Tiriechtiacha” (rzeka – „trasa” przepływająca przez Góry Czerskiego). „Jutro tam będziemy!!!”

Prawie dwudniowa jazda uralami była naprawdę emocjonującym przeżyciem. Do tego nawet „Camel Trophy” się nie umywa! Paka jednej z dwóch ciężarówek została po brzegi (nawet z górką!) załadowana najróżniejszym dobytkiem i pasażerami, z których większość jechała na kilka tygodni w głąb tajgi, aby porobić zapasy na długą zimę. W tym czasie poszycie tych nieprzebytych lasów było czerwono – granatowe od owoców, a grzyby można było „kosić”. My oczywiście też nie omieszkaliśmy z tego korzystać, pycha! Właściwie tylko cztery osoby, my i Sasza, młody zoolog z Jakucka, jechaliśmy dalej w góry, żeby być jak najbliżej punktu wypadowego w Masyw Buordach. Jeśli chodzi o Saszę, to poznaliśmy go jeszcze w Honuu, jako (nieformalnego) uczestnika ekspedycji profesora i pani z ministerstwa. Przy okazji warto nadmienić, że ich przedsięwzięcie się nie udało – wszyscy poza Saszą, który miał badać populację górskiego barana, wrócili do Jakucka ze względu na niesprzyjające warunki...

Urale jechały wzdłuż koryta Tiriechtiacha, raz po jednej, raz po drugiej stronie. W czasie pokonywania nurtu rzeki miewaliśmy takie przechyły, że trzeba było uważać, żeby nie powypadały rzeczy lub żeby woda nie nalała się do paki. To dopiero była jazda!. Niekiedy jechało się w samym korycie rzeki i czuliśmy się jak w łódce, a czasem też przedzieraliśmy się przez bagnistą tajgę.

W czasie jednej z przepraw przez tajgę pilotujący ural zakończył się w głębokim błocie i zaczęło się wyciąganie. Poszły w ruch grube stalowe liny, młode modrzewie wycinane naprędcę w tajdze, zaczął się rejwach i bieganina. Jednak chociaż ludzie wyteżali wszystkie siły i prześcigali się w pomysłowości, a sa-



Część ekwipunku zostawiamy na drogę powrotną w bezpiecznym zchowku (w cysternie)

mochody rzuć dawały z siebie wszystko, cała akcja trwała prawie cztery godziny. My wraz z innymi byliśmy wówczas przyjmowani herbatą i pierożkami w jednej z jurt, dla nas to była pierwsza, w jakiej byliśmy! Poszliśmy też „na spacer” po okolicy i korzystaliśmy z obfitych darów tajgi. Ciekawość naszą wzbudził człowiek z kosą, który stał po kolana w wodzie i kosił wysoką trawę w sercu tajgi – tam widocznie nie można czekać na sprzyjającą aurę, lecz trzeba wykonywać pracę, która jest do zrobienia...

Na drugi dzień dojechaliśmy do celu kolejnego etapu – przełęczy Antona. Pożegnaliśmy naszych wspaniałych kierowców, których czekało jeszcze kilka dni w drodze i zostaliśmy sami, jednak tylko na chwilę. Zaraz pojawiło się kilku koczowników na koniach, jak się okazało, dwóch Jakutów i jeden Ewen, niesamowicie sympatyczni ludzie. Chcieli zabrać Saszę – naukowca do swojego obozu nad jeziorem Bujunga, ale kiedy zobaczyli, że jest nas więcej, powiedzieli, że zabiorą wszystkich, tylko pojedą po konie. To dopiero radość! Na koniach nikt z nas w życiu nie jeździł, co za gratka!

Jakuckie konie, krewni stepowego konia Przewalskiego, są mniejsze niż „nasze”, za to bardzo silne, wytrzymałe i odporne na mrozy. Najczęściej białe, rzadziej jasnobraze, jeździ się na nich, jak się później okazało, wyśmienicie. Dowiedzieliśmy się też, że zimą wygrzebują sobie kopytami jedzenie spod śniegu i nie trzeba się martwić o ich utrzymanie.

Nasza pierwsza jazda odbyła się w środku nocy, przy blasku księżyca w pełni i tysiący gwiazd, jako że powietrze było mroźne i przejrzyste. Czuliśmy się jak niegdyś Trzej Królowie...

Za to w obozie okazało się, że jesteśmy tak skostniałi, że ledwo można zejść z koni, nie mówiąc już o dojściu do ogniska. Do tego należało jeszcze rozbić namiot i rozpakować plecaki...Brrr! Ale co tam! Rozgrzaliśmy się herbatą, porozmawialiśmy trochę z dwoma Jakutami obecnymi w obozie i poszliśmy spać, pierwszy raz już „naprawdę” w Górach Czerskiego... Rano, chociaż paliło słońce, wszystko było pokryte szronem i tak było każdego ranka, już do końca. Dlatego, jak zauważyliśmy, życie w jurtach „właściwie” zaczyna się, jak słońce wypali biały nalot z traw, czyli po dziewiątej czasu lokalnego, za to później siedzi się do późnych godzin nocnych. Taki tryb życia bardzo nam odpowiadał!

Po śniadaniu wybraliśmy się na najwyższy szczyt w okolicy (1715 m), żeby zobaczyć z odpowiedniej perspektywy, jak to wszystko wygląda. Tu warto wspomnieć co nieco o budowie Gór Czerskiego. To ogromne pasmo, rozciągające się między Janą a Kołymą na długości około półtora tysiąca kilometrów, zostało wypiętrzone w erze mezozoicznej na obszarze bogatym we wszystkie niemal pierwiastki tablicy Mendelejewa. To wpły-

nęło na ich „niepowtarzalność” i ogromną różnorodność budowy geologicznej. Są tu góry gnejsowe, łupkowe, żelazowe, uranowe, a nawet marmurowe (“Mramarnaja Gora” jest atrakcją Momskiego PN – opowiadał nam o niej dyrektor parku, a my widzieliśmy ją podczas jazdy uralami). Patrząc na góry i chodząc po nich, ma się wrażenie, że zostały usypane z ogromnych głazów i skalnego gruzu – po prostu się „sypią”, tym bardziej, że są w większości bardzo strome i wysokie, co sprzyja erozji. Sam Masyw Buordach z najwyższym szczytem Pobiedą to strome i wysokie góry o postrzępionych, ostrych graniach i krętych, głębokich dolinach (wielkie przewyższenia). Jako jedyne miejsce w całym paśmie Czerskiego odznaczają się obecnością lodowców, które kilkusetmetrową warstwą zalegają w wielu dolinach i „przewalają się” przez szczyty. „Buordach” oznacza „bałagan” i nazwa ta jest jak najbardziej na miejscu, bo pełno tu rumowisk skalnych, piargów i obsuwających się kamieni. Byłoby jednak błędne twierdzenie, że ten „bałagan” nie jest wspaniały, wręcz przeciwnie – jest imponujący... Góry Czerskiego mają jednak również inne oblicze – niższe, lecz także strome wzniesienia porośnięte tundrą, a gdzieś tam też lasem modrzewiowym. Charakterystyczne są dla nich ogromne przestrzenie i rozległe doliny, w których często są liczne jeziora i rzeki, dlatego doliny bywają podmokłe. No i wszędzie ślady wiecznej zmarzliny...

Ze szczytu rozciągał się przepiękny widok – na szeroką dolinę rzeki Erikiet, jeziora Bujunga oraz Bugczan, „nalieź” (miejsce, w którym zawsze leży śnieg; ma to związek z faktem, że ponad 99% Jakucji leży na obszarze występowania wiecznej zmarzliny) i rozliczne łańcuchy Gór Czerskiego. W dali widać było nawet nasz wymarzony Masyw Buordach, do którego dotarcie mimo wcześniejszych trudności (myśleliśmy, że już nic z tego nie wyjdzie, ale chcieliśmy bardzo zobaczyć chociaż fragment Gór Czerskiego...) stawało się coraz bardziej realne, dzięki szczęśliwemu splotowi okoliczności, takich jak transport uraliem, czy nieoczekiwana pomoc wspaniałych koczowników...

Następnego dnia w obozie koniowodów poruszenie. Jedziemy do oleniowodów nad rzekę Czuczca! Tam zobaczymy renifery i poznamy „prawdziwe życie koczowników”. Super!!! Tym razem „wyższa szkoła jazdy” – dano nam konie objuczone, bez siodeł i strzemion. To była dopiero jazda! Gnaliśmy przez rozległą dolinę, po obu stronach i przed sobą mając góry, z lewej strony rzekę i trzy jeziora, a w duszach wielką radość. Czuliśmy się jak pradawni koczownicy odkrywający nieznaną przestrzeń... Cdn.

*Emilia Żmuda-Trzebiatowska, Ula Kampowska,
Michał Małafiejski
Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki*



„Kawaleria syberyjska”; w tle góry Czerskiego

LEGENDA OLIWSKA

Historię tę usłyszałem od leśnego skrzata, którego napotkałem kilka lat temu w głuszy Lasów Oliwskich w „Dzień Sowy”.

Działo się to tak dawno, że najstarsi ludzie nie pamiętają szczegółów. Pomorską krainą władał wówczas zły książę Bej, co to ze wschodu przybył i prawowitego sukcesora pozabawił tronu. Bej, oprócz danin, nakładał na okolicznych knieci coraz to nowe uciążliwe obowiązki, a kto nie wywiązywał się z nich, był poddawany chłości. Lud burzył się, ale na tyrana nie było sposobu, zaś przywódcy buntów byli skazywani na tortury albo wysyłani na banicję. Jednak najbardziej obawiano się rozbojnika – złego i chciwego Ralbas, który wraz ze swoimi kompanami: Gradkiem, Gawłukiem, Kasną i Leliwą, zamieszkał w Lasach Oliwskich. Łupili oni kupców spieszących z towarami do Gdańska, a biedakom, jak nie mogli się wykupić – niszczyli dobytek: palili ich chałupy i zbiory, albo w jasyr Tatarom oddawali. Ludzie szeptali, że zbójce są bezkarni, bo ich herszt otrzymał przyzwolenie od księcia, z którym potajemnie dzielił się zdobytymi łupami.

Nieopodal wzgórze, panującego nad starą Oliwą, mieszkał młody pachotek, sierota, co u gospodarza za parobka robił. Młodzieniec ów był dobry dla ludzi, szczególnie zaś lubił przebywać wśród gospodarskich zwierząt, którymi się opiekował. Pewnego razu w wigilijną noc usłyszał przypadkiem ich rozmowę. Osioł zagadał do krowy, że sposób na pozbycie się Ralbas może znać stary mądry Stawoj, mieszkający samotnie w głuszy Lasów Oliwskich. Jego pustelnia znajduje się nad potokiem, gdzieś koło kamienia rozbitego na części przez rozwścieżonego diabła, któremu nie udało się zniszczyć zabudowań oliwskiego klasztoru.

Jak tylko zaczęło świtać, pachotek wymknął się niepostrzeżenie z domu. Pelen obaw, brnąc przez śnieżne zasy, skierował się do lasu na poszukiwanie pustelnika. Odnalazł go około południa, gdy ten łowił ryby w potoku nazywanym „Oliwskim”. Stawoj wysłuchał prośb młodzieńca i głęboko zamyslił się. Dumął i dumął, aż wymyślił na zbója sposób: należy rozpowiadać o wielkich skarbach zgromadzonych w kościele, ale trzeba dodać, że może je posiadać tylko ten, który zdobędzie talizman – pióro ze skrzydła anioła. Inaczej zginie, próbując



Oliwa, widok wzniesienia „Pachotek”



Głaz narzutowy „Kamienna Twarz”

przywłaszczać owe skarby. W pobliżu Oliwy była zakłeta góra, gdzie raz do roku, w „Dzień Sowy”, gromadziły się na naradę anioły. Nadarzała się więc okazja, by niepostrzeżenie zdobyć takie cudowne pióro.

Pachotek powrócił do Oliwy i, niby w wielkiej tajemnicy, opowiedział w karczmie o kościelnym bogactwie i talizmanie. Tak, jak pustelnik przewidział – o wszystkim dowiedział się niebawem zbój i zapragnął sam zdobyć skarby, które złożono w ofierze. Ale najpierw musiał posiadać anielskie pióro. Dlatego zaczął się we właściwym dniu na górę, którą upatrzyły sobie anioły, i czekał. Wieczorem nagle okolicę rozświetliła niebieska poświata i dał się słyszeć delikatny szum skrzydeł – to anioły zleciały się na naradę. Ralbas podczołgał się do obradujących wystanników Nieba i delikatnie wyrwał pióro jednemu z nich, po czym ukradkiem oddalił się. Nie wiedział jednego, że na zakłetej górce nie wolno było oglądać się za siebie. Kiedy posłyszał za sobą jakiś dziwny odgłos, nie wytrzymał i spojrzął do tyłu. I natychmiast zamienił się w głaz. A pióro ze skrzydła anioła porwał wiatr i poniosł je daleko w lesne ostępy, gdzie spoczywa do dziś, ukryte przed okiem ludzi. Czeką ono na tego o czystym sercu, który, znalazłszy je, posiadać cudowną moc czynienia ludziom dobra.

Powiadają starzy mieszkańcy Oliwy, że na Wzniesieniu Marii w Lasach Oliwskich leży głaz, co go „Kamienną Twarzą” nazwano; to zbójnik Ralbas, zakłety w zimny kamień. Zaś wzgórze wznoszące się ponad starą Oliwą, na część dzielnego młodzieńca ochrzczono Pachotkiem. A co stało się ze złym księciem Bejem? Otóż gdy dowiedział się o karze, jaką spotkała jego współnika-zbojnika, to ze strachu zaniemógł i w trzy dni zmarł. Natomiast o kompanach Ralbas wszelki śluch zaginął; ponoć zostali rozszarpani przez dzikie zwierzęta.

Marcin S. Wilga
Wydział Mechaniczny
(fot. autor)

Ps. Niniejsza legenda jest wyjątkiem z przewodnika turystycznego mojego autorstwa pt. „Szlak Królewski w Lasach Oliwskich”.